

DON KICHOT  
WE WSPÓŁCZESNEJ  
AMERYCE

Salman  
Rushdie

Quichotte



**SALMAN RUSHDIE**  
**W REBISIE**

*Czarodziejka z Florencji*

*Dwa lata, osiem miesięcy i dwadzieścia osiem nocy*

*Dzieci północy*

*Furia*

*Grimus*

*Harun i Morze Opowieści*

*Joseph Anton. Autobiografia*

*Luka i Ogień Życia*

*Ojczyzny wyobrażone*

*Ostatnie westchnienie Maura*

*Szatańskie wersety*

*Śalimar klaun*

*Wschód, Zachód*

*Wstyd*

*Ziemia pod jej stopami*

*Złoty dom Goldenów*

# Salman Rushdie Quichotte

Przełożył  
Jerzy Kozłowski



Dom Wydawniczy  
REBIS

Tytuł oryginału  
*Quichotte*

Copyright © 2019, Salman Rushdie  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,  
Poznań 2019

Redaktor  
Katarzyna Raźniewska

Konsultacja indologiczna  
dr Monika Browarczyk

Projekt okładki oraz ilustracja na okładce  
Fearn de Vicq

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki  
Sławomir Folkman/www.kaladan.pl

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

Wydanie I  
Poznań 2020

ISBN 978-83-8188-034-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

DTP: *Akapit*, Poznań, tel. 61-879-38-88

*Dla Elizy*



---

## *Donkiszotowska notka na temat wymowy*

*Quichotte* wymawiane po francusku „ki-SZOT”, po niemiecku zaś „ki-SZOT-a” oraz *Chisciotte* wymawiane „ki-SZO-te” po włosku i *Qui-xote* wymawiane po portugalsku także „ki-SZO-te” to inne sposoby zapisu/wymowy hiszpańskiego *Quijote* wymawanego „ki-HO-te”. Sam Cervantes w hiszpańszczyźnie swoich czasów prawdopodobnie powiedziałby „ki-SZO-te”. W niniejszej powieści proponuję stosować elegancką francuską wymowę „ki-SZOT” z powodów, które staną się jasne za sprawą samego tekstu, ale, szanowny czytelniku, rób, jak uważasz. Gdy idzie o wymowę imienia uniwersalnego dona, wyznajemy zasadę – co kto lubi.





# *Część pierwsza*



*Quichotte, człek podeszły w latach,  
zakochuje się, rozpoczyna swą wyprawę  
i zostaje ojcem*

**Z**ył sobie niedawnymi czasy, pomieszkując pod szeregiem rozsianych po całych Stanach Zjednoczonych tymczasowych adresów, niemłody już podróżujący dżentelmen o indyjskich korzeniach i wątlejących władzach umysłowych, który przez rozmiłowanie w ogłupiającej telewizji spędzał zbyt dużą część życia w żółtym świetle tandetnych pokoi motelowych, gdzie raczył się nią w nadmiarze, skutkiem czego doznał specyficznej formy upośledzenia mózgu. Pochłaniał programy poranne, popołudniowe i wieczorne, telenowele, komedie sytuacyjne, filmy na Lifetime Movies, seriale medyczne i policyjne, seriale o wampirach i zombi, perypetie gospodyń domowych z Atlanty, New Jersey, Beverly Hills i Nowego Jorku, romanse i kłótnie dziedziczek fortun hotelowych i samozwańczych szachów, igraszki osobników zawdzięczających popularność ochoczemu obnażaniu ciała, piętnaście minut sławy młodych osób, które duże grono fanów w serwisach społecznościowych zawdzięczały ope-

racyjnemu uzyskaniu trzeciej piersi lub figury imitującej po usunięciu żeber nieprawdopodobne kształty lalki Barbie firmy Mattel czy choćby zwykłej umiejętności łowienia gigantycznych karpi w malowniczej scenerii i przyrodziewku składającym się z nader skąpego bikini; a także teleturnieje wokalne, kulinarne, konkursy na najlepszy biznesplan, na najlepszego stażystę, wyścigi zdalnie sterowanych monstualnych pojazdów, konkursy mody, konkursy o względy singli i singielek, mecze baseballowe, koszykarskie, piłkarskie, walki zapaśników, kickbokserów, sporty ekstremalne i naturalnie wybory miss. (Nie oglądał hokeja. Dla ludzi o jego pochodzeniu etnicznym i młodości spędzonej w tropikach dyscyplinę tę uprawiało się na trawie. Gra w hokeja na lodzie była jego zdaniem absurdem nie mniejszym niż jazda po trawie na łyżwach).

Wskutek niemal całkowitego zaabsorbowania treściami przekazywanymi mu za pośrednictwem dawniej kineskopu, a w obecnej epoce płaskich ekranów – wyświetlaczy ciekłokrystalicznych, plazmowych i wykonanych w technologii OLED – padł ofiarą coraz powszechniej występującego zaburzenia psychicznego, w którym granica między prawdą a kłamstwem staje się rozmyta i niewyraźna, toteż niekiedy nie potrafił odróżnić jednego od drugiego, rzeczywistości od „rzeczywistości”, i zaczął postrzegać siebie jako naturalnego obywatela (i potencjalnego mieszkańca) owego fikcyjnego świata za ekranem, do którego tak się przywiązał i który, jak sądził, oferował jemu, a co za tym idzie wszystkim, wskazówki moralne, społeczne i praktyczne, jakimi powinni się kierować w życiu wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety. W miarę upływu czasu, gdy zapadał się coraz głębiej w grząski grunt tego, co można nazwać nierzeczywistą rzeczywistością, odczuwał emocjonalną więź z wieloma mieszkańcami tego drugiego, bardziej kolorowego świata, którego obywatelstwo, jak uważał, prawnie mu się należy, jakby był współczesną Dorotką rozważającą przenosiny na stałe do krainy Oz; i w jakimś momencie, nie wiadomo kiedy, zapalał niezdrowym, bo całkowicie jednostronnym uczuciem do pewnej osobowości telewizyjnej, pięknej, dowcipnej i ubóstwianej panny Salmy R, które

to zauroczenie nazywał niezbyt stosownie miłością. W imię tej tak zwanej miłości podjął żarliwe postanowienie, że wyruszy na poszukiwanie „ukochanej” za telewizyjny ekran, wkraczając w niedostępną rzeczywistość HD, jaką ona i jej podobni zamieszkują, i że swymi uczynkami oraz wdziękiem zaskarbi sobie jej przychyłność.

Mówił powoli i chodził też powoli, powłócząc lekko prawą nogą – w ten sposób po latach dawało o sobie znać dramatyczne Zdarzenie Wewnętrzne, które osłabiło mu również pamięć, toteż chociaż wspomnienia z odległej przeszłości pozostawały żywe, te ze środkowego etapu życia były wysoce niepewne: jakby powstałe przerwy oraz inne luki zostały wypełnione przez pracujących w pośpiechu niechlujnych robotników fałszywymi wspomnieniami wysnutymi z tego, co mógł obejrzeć w telewizji. Poza tym robił wrażenie całkiem sprawnego jak na swoje lata. Wysoki, można powiedzieć tyczkowaty, przypominał wychudłe postaci z obrazów El Greca lub wąskie rzeźby Alberta Giacomettiego, i chociaż tacy mężczyźni (przeważnie) mają usposobienie melancholijne, czarował pogodnym uśmiechem i sposobem bycia człowieka starej daty, z czego obie te cechy są cennymi atutami, gdy jest się podróżującym akwizytorem, którym był w swoich złotych latach przez dłuższy czas. Ponadto już samo jego nazwisko wywoływało uśmiech. Nazywał się Smile. Na wizytówce miał napisane: *Pan Ismail Smile, przedstawiciel handlowy, Smile Pharmaceuticals Inc., Atlanta, Georgia*. Jako handlowiec zawsze szczylił się tym, że jego nazwisko brzmi tak samo jak nazwa firmy, którą reprezentuje. Nazwisko rodowe. Przydawało mu większej wagi, tak przynajmniej sądził. A jednak nie to nazwisko wybrał na czas swej ostatniej i najbardziej zwariowanej przygody.

(Nawiasem mówiąc, owo nietypowe nazwisko *Smile* było zamekrykanizowaną wersją *Ismail*, tak więc stary komiwojażer naprawdę nazywał się Ismail Ismail lub alternatywnie Smile Smile. Był w Ameryce mężczyzną o brązowej karnacji i pragnął brązowej kobiety, aczkolwiek swojej historii nie postrzegał w kategoriach rasowych. Można by powiedzieć, że niejako oddzielił się od swej skóry. Tę rzecz i wiele innych jego wyprawa miała zakwestionować – i zmienić).

Im dłużej myślał o kobiecie, którą, jak utrzymywał, kochał, tym jaśniejsze stawało się dla niego, że tak wspaniała osobowość nie zaślabnie z wrażenia, gdy ktoś zupełnie obcy po raz pierwszy wyzna jej swoją *amour fou*. (Aż *tak* szalony nie był). Musiał zatem najpierw udowodnić, że jest jej wart, i od tej pory zależało mu tylko i wyłącznie na dostarczeniu takich dowodów. Tak! Zademonstruje jej bezspornie swoją wartość! Gdy już podejmie wyprawę, będzie musiał koniecznie informować wybrankę o swych dokonaniach, postanowił zatem rozpocząć z nią korespondencję, serię listów ujawniających jego szczerze zamiary, głębię uczuć oraz to, ile trudu gotów jest sobie zadać, żeby zdobyć jej serce. Właśnie na tym etapie rozważań oładnęła nim pewnego rodzaju nieśmiałość. Jeśli odkryje przed nią, jak skromna jest tak naprawdę jego pozycja, możliwe, że jego wybranka ze ślicznym śmiechem wyrzuci list do kosza i na zawsze o nim zapomni. Jeśli wyjawi jej swój wiek lub poda szczegóły dotyczące wyglądu, ukochana może się wzdrygnąć pod wpływem zmieszanego ze zgrozą rozbawienia. Jeśli jej poda swoje nazwisko, czcigodne co prawda nazwisko Smile, nazwisko pobrzmiwające wielkimi pieniędzmi, może w przypiływie złego humoru zawiadomić policję i jeśli wytropią go jak psa na żądanie obiektu jego uczuć, bez wątpienia umrze ze złamanym sercem. Dlatego też na razie zamierzał zachować swoją prawdziwą tożsamość w tajemnicy i ujawnić ją dopiero wtedy, gdy jego listy oraz opisane w nich uczynki dobrze Salmę do niego usposobią i sprawią, że stanie się bardziej otwarta na jego awanse. Skąd będzie wiedział, kiedy nadejdzie ów moment? Na to pytanie miał odpowiedzieć później. Teraz najistotniejsze było zacząć. I pewnego dnia właściwe imię, najlepsza z możliwych tożsamości, ukazało mu się w tej chwili pomiędzy snem a przebudzeniem, gdy magia świata wyobrazonego pod powiekami może się przesączyć do świata, który widzimy po odemknięciu oczu.

Tamtego ranka wydawało mu się, że widzi rozmowę dwóch wersji siebie – tej ze snu i tej na jawie. „Spójrz na siebie – na wpół uśpiony on mamrotał do tego na wpół rozbudzonego. – Taki wysoki, chudy i stary, a potrafi zapuścić tylko taką nędzną brodę, jak-

by był pryszczatym nastolatkiem. I tak, przyznaj, pod sufitem też chyba nie wszystko po kolei, jeden z tych wiecznie z głową w chmurach, który bierze formacje typu cumulusy, cumulonimbusy czy nawet cirrostratusy za twardą ziemię. Pomyśl o ulubionym utworze muzycznym z czasów, gdy byłeś dzieckiem! Wiem, ostatnio się lubujesz w tych zawodzeniach, których słuchasz w *American Idol* albo *The Voice*. Tylko że wówczas podobało ci się to, co się podobało twemu artystycznie wyrobionemu ojcu, przejąłeś po nim gust muzyczny. Pamiętasz jego ulubioną płytę?" I wtedy na wpół uspioiny Smile wydobył zamaszystym gestem winylowy album, który na wpół rozbudzony Smile natychmiast rozpoznał. Nagranie opery Jules'a Masseneta *Don Quichotte*. „Bardzo swobodna adaptacja wielkiego arcydzieła Cervantesa, prawda – rozwodziła się zjawia. – A jeśli chodzi o ciebie, zdaje się, że sam jesteś dość swobodną interpretacją”.

Zatem ustalone. Zerwał się z łóżka w pasiastej piżamie – szybciej, niż miał w zwyczaju – i, ni mniej, ni więcej, klasnął w dłonie. Tak! Tego pseudonimu będzie używał w swoich listach miłosnych. Zostanie jej przemyślnym szlachcicem, Quichotte'em. Ona będzie Ginewrą, a on Lancelotem z Jeziora i uprowadzi ją do zamku Joyous Gard. Będzie – by zacytować *Opowieści kanterberyjskie* Chaucera – „iście rycerskiej grzeczności [...] wzorem”\*.

Powtarzał sobie, że oto rozpoczęła się era Wszystko Się Może Zdarzyć. Słyszał te słowa z ust wielu osób z telewizji i niekonwencjonalnych filmików krążących w cyberprzestrzeni, która rozszerzała jego nałóg o nowy wymiar technologiczny. Nie istniały już żadne zasady. A w erze Wszystko Się Może Zdarzyć, cóż, wszystko się mogło zdarzyć. Starzy przyjaciele mogli się stać nowymi wrogami, a odwieczni wrogowie najlepszymi przyjaciółmi, a nawet kochankami. Prognozowanie pogody przestało być możliwe, to samo działo się z prawdopodobieństwem wojen lub wyniku wyborów.

---

\* G. Chaucer, *Opowieści kanterberyjskie*, tłum. H. Pręczkowska, Wrocław 1963, s. 10 (przyp. tłum.).

Kobieta mogła się zakochać w prosięciu, mężczyzna mógł zamieszkać z sową. Piękność zasypiała, a gdy budził ją pocałunek, mogła mówić w innym języku i w tym nowym języku ujawnić całkowicie odmieniony charakter. Powódź mogła zatopić twoje miasto. Tornado mogło porwać twój dom do odległej krainy, który po wylądowaniu mógł przygnieść czarownicę. Przestępcy mogli zostać królami, a królowie mogli zostać zdemaskowani jako przestępcy. Mężczyzna mógł odkryć, że kobieta, z którą żyje, jest dzieckiem jego ojca z nieprawego łoża. Cały naród mógł rzucić się w przepaść jak stado lemingów. Mężczyźni grający w telewizji prezydentów mogli zostać prezydentami. Woda mogła się skończyć. Kobieta mogła urodzić dziecko, w którym rozpoznany zostanie powstający z martwych bóg. Słowa mogły stracić swoje znaczenie i zyskać nowe. Świat mógł się skończyć, co zaczął wielokrotnie przepowiadać co najmniej jeden czołowy naukowiec-przedsiębiorca. Nad tym końcem miał się unosić smród zła. A gwiazda telewizji mogła cudem odwzajemnić miłość starego głupca, umożliwiając mu nieprawdopodobny romantyczny triumf, zadośćuczynienie za długie, małe życie opromienione na sam koniec majestatycznym blaskiem.

Wielka decyzja Quichotte'a została podjęta w motelu Red Roof w miejscowości Gallup w stanie Nowy Meksyk (21 678 mieszk.). Akwizytor spojrział z pożądaniem i zazdrością na historyczny hotel El Rancho, który w okresie rozkwitu westernu gościł wiele gwiazd występujących w kręconych w pobliżu filmach, od Johna Wayne'a i Humphreya Bogarta po Katharine Hepburn i Mae West. El Rancho wykraczał jednak poza jego możliwości finansowe, pojechał więc dalej do skromniejszego Red Roof, który całkiem mu odpowiadał. Nauczył się przyjmować bez słowa skargi, co niesie los. Tego ranka telewizor był włączony, gdy się zbudził ze swoją cudowną nową tożsamością – zapomniał go wyłączyć przed zaśnięciem – i pogodynka Steve Stucker z KOB-4 był na wizji ze swoją Paradą Pupilków, psimi celebrytami Radarem, Rezem, Squeakym i Tuffym. To znaczyło, że jest piątek, i świeżo przemianowany pan Quichotte (uważał, że nie zasługuje na szczytny tytuł dona), pobudzony nowym posta-



nowieniem, otwarciem się przed nim ukwieconej ścieżki prowadzącej ku miłości, był mocno podekscytowany, mimo iż dobiegał końca męczący tydzień wypełniony odwiedzinami w okolicznych przychodniach lekarskich – w Albuquerque i nie tylko. Poprzedni dzień spędził w takich ośrodkach medycznych, jak Rehoboth McKinley Christian Health Care Services, Western New Mexico Medical Group oraz Gallup Indian Medical Center (który otaczał opieką sporą grupę autochtonicznej ludności pochodzącej z plemion Hopich, Nawahów i Zunich). Wyniki sprzedażowe były zadowolające, jak sądził, chociaż jego jowialne przechwałki, że niedługo wybiera się na wakacje w samym Nowym Jorku (8 623 000 mieszk.) z nową dziewczyną, Bardzo Znaną Gwiazdą, królową telewizji, spotykały się z wyrazami konsternacji, uniesieniami brwi i uśmiechami zażenowania. A jego mały żarcik w Gallup – „Ja jestem z Indii, według Kolumba tu też są Indie, co za różnica. Wy nosicie pióra, my kropki na czole, a kolor skóry ten sam! Więc cieszę się, że jestem na ziemiach moich braci” – też nie spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem.

Nie miał już stałego miejsca zamieszkania. Droga była jego domem, samochód salonem, bagażnik szafą, a łańcuszek przybytków o nazwie Red Roof, Motel 6 i Days Inn itede zapewniał mu miejsce do spania i telewizor. Wolał motele z kilkoma chociaż płatnymi programami kablowymi, jeśli jednak nie były dostępne, zadowolął się podstawową ofertą telewizyjną. Tego konkretnego ranka nie miał wszakże czasu na miejscowego prezentera pogody ani jego uratowane ze schroniska czworonogi. Chciał porozmawiać z przyjaciółmi o miłości i o swej miłosnej wyprawie, którą niebawem zaczynał.

Po prawdzie nie miał już właściwie przyjaciół. Był jego zamożny kuzyn, pracodawca i patron, dr R.K. Smile, była doktorowa, Happy Smile, chociaż nie spędzał z tym dwojgiem czasu, byli recepcjoniści i recepcjonistki kilku moteli, które regularnie odwiedzał. Było kilka osób rozrzuconych po kraju i globie, które mogły wciąż żywić do niego uczucia podobne do przyjaźni. A przede wszystkim była kobieta w Nowym Jorku (nazywała siebie Żywą Trampoliną), która mogła się jeszcze kiedyś do niego uśmiechnąć, jeśli dopisze mu

szczęście i jeśli przyjmie jego przeprosiny. (Wiedział, a raczej tak mu się wydawało, że należą jej się przeprosiny, jednak tylko częściowo pamiętał dlaczego, czasem zaś sądził, że może szwankująca pamięć poprzekręcała mu wszystko w głowie i to ona powinna przeprosić jego. Nie miał jednak paczki, kręgu, żadnej grupy, do której by należał, ani prawdziwych kumpli, dawno już bowiem porzucił wir życia towarzyskiego. Na Facebooku utrzymywał kontakty z niewielką i kurczącą się grupką „znajomych”, podróżujących akwizytorów takich jak on, a także zbieraniną przeróżnych samotników, bufonów, ekshibicjonistów i frywolnych dam zachowujących się na tyle prowokująco, na ile pozwalał dosyć purytański regulamin tego serwisu. Każdy z tych „znajomych” zrozumiał, czym jest jego plan, gdy radośnie go obwieścił: idiotycznym pomysłem graniczącym z obłędem, i wszyscy co do jednego próbowali go odwieść od zamiaru śledzenia i nękania panny Salmy R – dla jego dobra. W odpowiedzi na jego post pojawiły się smutne buźki i emotikony grożące dezaprobatą palcem, a także GIF-y z samą Salmą R, która robi zeza, pokazuje język i puka się w czoło, wykonuje zatem powszechnie znane gesty oznaczające „ratunku, wariat”. Nic go jednak nie mogło powstrzymać.

Takie historie, ogólnie rzecz biorąc, nie kończą się dobrze.

Za młodu – a więc dostatecznie dawno, żeby wspomnienia pozostawały wyraźne – był podróżnikiem czystszeo rodzaju niż akwizytor, którym się później stał, wyprawiał się w dal po prostu ciekaw tego wszystkiego, co tam może obejrzeć, od przylądka Horn i Ziemi Ognistej, krańców świata, gdzie wszystkie kolory blakną, toteż rzeczy i ludzie istnieją tylko w czerni i bieli, aż po wschodnie pustkowia Iranu, od rojącego się od karaluchów miasta Bam po przygraniczne miasto Zahedan za przeminionych rządów szacha, od Zatoki Rekina w Australii, gdzie pływał w idyllicznej scenerii wśród delfinów, po bezkresną równinę Serengeti z migrującymi wielkimi stadami gnu. Na Mauritiusie świętował Holi z mówiącymi językiem bhodźpuri

potomkami indyjskich robotników, a w wiosce Aru położonej wysoko w górach niedaleko lodowca Kolahoi w Kaszmirze świętował z miejscowymi tkaczami Bakr Id. Jednak w pewnym momencie, gdy wkraczał w wiek średni, Zdarzenie Wewnętrzne zmieniło wszystko. Gdy oprzytomniał po tym zdarzeniu, utracił resztki ambicji i ciekawości, duże miasta przytłaczały go i pragnął tylko anonimowego, samotnego życia.

Ponadto odezwał się w nim silny lęk przed lataniem. Zapamiętał sen, w którym spada, a potem tonie, i od tamtej pory żył w przekonaniu, że podróże powietrzne są najbardziej absurdalną fantazją i kłamstwem, jakie ziemscy władcy próbują narzucić niewinnym kobietom i mężczyznom takim jak on. Jeśli samolot unosi się w powietrzu, a jego pasażerowie docierają bezpiecznie do celu, jest to tylko kwestia szczęścia. Niczego nie dowodzi. Nie chciał umrzeć, spadając do wody z nieba (jak we śnie) ani na ziemię (co byłoby jeszcze mniej przyjemne), dlatego też postanowił, że jeśli bóstwa zdrowia pozwolą mu stanąć na nogi, już nigdy więcej nie wsiadzie na pokład żadnej z tych monstrualnie ciężkich puszek, które obiecują, że uniosą go na wysokość ponad dziewięciu kilometrów. I rzeczywiście wyzdrowiał, aczkolwiek powłóczył nogą, i od tamtej pory podróżował wyłącznie drogami. Czasem myślał o tym, żeby się wybrać w rejs amerykańskim wybrzeżem do Brazylii lub Argentyny albo przez Atlantyk do Europy, nigdy wszakże nie poczynił niezbędnych przygotowań, a ostatnio wątłe zdrowie i puste konto prawdopodobnie nie zniosłyby trudów takiej podróży. Stał się zatem istotą przywiązaną do czterech kółek i taką miał już pozostać.

W starym plecaku nosił kolekcję zgromadzonych w czasie podróży przedmiotów skromnych rozmiarów, z których każdy był starannie zawinięty w bibułkę i folię bąbelkową: wypolerowany chiński kamień, *objet trouvé*, o wzorze przypominającym pejzaż zalesionych wzgórz we mgle, głowę Buddy w stylu Gandhary, uniesioną drewnianą rękę z Kambodży z symbolem pokoju pośrodku dłoni, dwa kryształki w kształcie gwiazdy, jeden większy, drugi mniejszy, wiktoriański medalion, w którym umieścił fotografie rodziców, trzy

inne zdjęcia ukazujące dzieciństwo w odległym tropikalnym mieście, mosiężną angielską gilotynkę do cygar z epoki edwardiańskiej wykonaną w taki sposób, by wyglądała jak smok o ostrych zębach, indyjskie pudełko z zapalnikami Cheeta Brand z wizerunkiem zakradającego się geparda, miniaturowego dudka z marmuru oraz chiński wachlarz. Tych trzynaście przedmiotów było dla niego świętością. Gdy zatrzymywał się na noc w dowolnym pokoju, rozstawiał je jak najstaranniej ze dwadzieścia minut. Musiały zostać rozmieszczone idealnie, w odpowiednim stosunku jeden do drugiego, i gdy już dana aranżacja go zadowalała, w pokoju natychmiast zaczynał się czuć niczym w domu. Wiedział, że bez tych uświęconych przedmiotów ustawionych w odpowiednich miejscach jego życie straci równowagę, a on podda się panice, inercji, a wreszcie śmierci. Te przedmioty były życiem samym w sobie. Dopóki mu towarzyszyły, nie przerażała go droga. Było to jego szczególne miejsce.

Miał szczęście, że w następstwie Zdarzenia Wewnętrznego nie zidiociał doszczętnie jak ten potykający się, niedołyżny biedak, którego kiedyś widział, zdolny najwyżej do zbierania liści w parku, niczego bardziej wymagającego. On od wielu lat pracował jako podróżujący akwizytor farmaceutyków i kontynuował pracę pomimo wieku emerytalnego i groźnie chwiejnego, nieprzewidywalnie kapryśnego, narastająco zmiennego i uparcie obsesyjnego usposobienia dzięki dobroćliwosti wymienionego już zamożnego kuzyna, doktora R.K. Smile'a, odnoszącego sukcesy przedsiębiorcy, który po obejrzeniu telewizyjnej adaptacji *Śmierci komiwojażera* Arthura Millera odmówił zwolnienia krewnego w obawie, że czynem tym przyspieszy zgon staruszka\*.

---

\* Aczkolwiek dr Smile w innych sferach nie był aż tak dobroćliwy. O czym się przekonamy. O czym przekonamy się już niebawem.